

Byłem w Polsce – 8

2 czerwca 2018

Nasze pobyty w Polsce wcale nie ograniczały się do Warszawy. Jasne, że z oczywistych względów spędzaliśmy tu większość czasu, ale robiliśmy też różne wypadki, bo przecież to nie są kanadyjskie odległości i jakby się uprzeć, to wyjeżdżając z Warszawy nie ma takiego w Polsce punktu, z którego nie dałoby się wrócić następnego, a nawet tego samego dnia. Nawet ze Szczecina!

Wyjeżdżaliśmy do różnych miast i trzeba przyznać, że wszędzie było ładnie. Droga do Trójmiasta, A-2 do Poznania, Kraków, Wrocław, Karpacz, Zakopane, Rzeszów... To były wycieczki w różnych porach tego samego 2017 roku.

I jakkolwiek w lecie zawsze jest najprzyjemniej to inne pory też mają swój urok.

Ale do tych dalekich-bliskich stron wrócę jeszcze a tymczasem powiem dlaczego spacer Saską Osią wzbudził moje mieszane odczucia.

Hotel Bristol jest z tej trasy wykluczony na samiuteńkim początku, bo leży trochę "off"- a szkoda, bo stanowiłby dobry początek. Tak więc zaczęliśmy od pomnika Prusa i zaraz po drugiej stronie Krakowskiego "wcisnęliśmy się" pomiędzy dwa słynne gmachy – Komendę Miasta i Hotel Europejski.

Tę nazwę zawsze będę pisał dużą literą. Hotel Europejski. Dziś w generalnym remoncie. Budowniczowie zostawili tylko zewnętrzną skorupę a całe wnętrze wydłubali do ostatniej marmurowej płyty, którymi wyłożono kiedyś wejściowy hall i prowadzące na piętra schody. Jego nowe otwarcie przewidziano na maj 2018!

Całe szczęście, że to będzie hotel, a nie jakiś biurowiec, bo przeszło sto pięćdziesiąt lat temu zbudowano go jako hotel i

jako taki służył przez wiele lat.
Z wielu względów jest mi niesłychanie bliski.

Wspaniały hall, a z niego wejście do pięknej, eleganckiej restauracji. Tuż obok recepcji, która była na prawo od głównego wejścia był fryzjer, w którym golono-strzyżono na amerykańskich, rozkładanych fotelach, na których klient mógł się wygodnie wyciągnąć aż do pozycji leżącej. To było coś jak z filmów. Urzędujący tam pan Wacław mówił mi kiedyś, że golił Chruszczowa i wyglądało na to, że to był kulminacyjny punkt jego kariery.

Po drugiej stronie wspaniałych, marmurowych schodów, które prowadziły na piętra, idąc w kierunku kawiarni był barek, w którym można się było napić. "Harcerzyk", czyli dzin z sokiem grejpfrutowym kosztował trzydzieści pięć złotych co biorąc pod uwagę ówczesną, przeciętną pensję nie było tak mało. Dla niektórych środowisk zawodowych bywanie w tym barku było pewnym rytuałem, ale nie będę tego teraz rozwijał... Dalej była kawiarnia, a tuż po jej lewej stronie od ulicy Tokarzewskiego-Karaszewicza małe barek z paroma stolikami. To była mała "dziurka", zaciszna i dość przytulna. Dalej, po drugiej stronie budynku, od ulicy Ossolińskich była restauracja dzienna, oraz osławione Kamieniołomy – nocny lokal, do którego obowiązywał tak zwany wieczorowy strój, co w praktyce sprowadzało się do marynarki z krawatem. Przestrzegano tego bez litości i podobno nie wpuszczono tam nawet Micka Jaggera z Rolling Stones, bo ten zamiast krawata miał apaszkę.

Wszystko to wiem z wielu wizyt, głównie z racji mojej ówczesnej pracy, a także różnych spotkań z zagranicznymi gośćmi, którzy przyjeżdżając do Polski zatrzymywali się właśnie w Europejskim. Zresztą nie tylko. Z Europejskim wiąże mnie wiele innych – bardziej osobistych – wspomnień.

Przed wybudowaniem Victorii, Europejski i Bristol miały bez żadnych wątpliwości reputację najlepszych hoteli w Warszawie. Potem ich sława trochę przybladła, bo oprócz Victorii powstał

także hotel Forum, ale te nowe hotele nijak się miały do “starszych braci”. Były nowe, bez patyny i tradycji.

W Europejskim czuło się atmosferę, która wykraczała poza szarość codzienności tamtych lat. Ci, którzy tam pracowali mieli tego świadomość.

Podobnie było z Bristolem i z całą pewnością napiszę o nim osobno, ale teraz wracam do Osi! Saskiej Osi!

A zatem wychodząc na obecny plac Piłsudskiego, a kiedyś Zwycięstwa zostawiliśmy po prawej stronie Europejski, po lewej Komendę Garnizonu Miasta i stanęliśmy w miejscu, na którym przed wielu laty Jan Paweł II wzywał Ducha świętego aby odmienił oblicze TEJ ziemi.

Atmosfery tamtych dni nie można już dziś powtórzyć!

Tak jak nie można powtórzyć zatykającej dech w piersiach radości gdy dowiedzieliśmy się, że Karol Wojtyła został papieżem. To były dni, które wspomina się do końca życia.

Gdzie wtedy byłeś? Gdzie wtedy byłem? Jak ta wiadomość dotarła do ciebie, do mnie?

Do takich chwil wraca się i wraca i przypomina fragmenty rozmów, reakcji, zdarzeń, które im towarzyszyły...

To trochę tak jak z wiadomością o zamachu w Dallas.

Co wtedy robiłem?

Pamiętam gdy byłem małym chłopcem i przy okazji śmierci Piusa XII mój ojciec mówił o papieństwie. Zapytałem go wtedy czy kiedykolwiek Polak był papieżem.

– Nie, nigdy.

– A czy będzie? – dopytywałem się z ciekawością.

– O, nie, nie – odpowiedział – trudno to sobie nawet

wyobrazić!

A jednak! Równo dwadzieścia lat później zobaczyliśmy na ekranie naszego czarno- białego telewizora uśmiechniętą twarz polskiego papieża!

To były niezapomniane dni tym bardziej, że tamta rzeczywistość nie dawała nam zbyt wielkich nadziei. Po prostu trwało się. I to było duszące trwanie.

Szliśmy przez ogromny plac myśląc o tych wiekopomnych wydarzeniach i jak się nasze życie od tego czasu zmieniło. Jeszcze raz uświadomiłem sobie jak bardzo jesteśmy inni i w rzeczy samej – żyjemy innym życiem.

Po prawej stronie w oddali błyszczał szklany gmach. Od pierwszego rzutu oka nie miałem dla niego żadnej sympatii! O ile ładniej wyglądał ten plac bez niego! Zasłaniał piękną sylwetę Teatru Wielkiego i kłócił się z otoczeniem! No cóż – pomyślałem – jeśli nie można tego zmienić to trzeba przywyknąć – ale mimo to jakoś mnie to bolało.

Akurat odbywała się zmiana warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza! Przepadam za zmianami wart! Wszędzie. Widziałem ich kilka tu i tam i zawsze, niezależnie od tego gdzie, podziwiam ich dostojęństwo i dumę.

A za Grobem wspaniały Ogród Saski i ta fontanna ze szkicu mojej mamy.

Matki przechadzały się z wózkami, małe dzieci biegały w alejkach, starsi ludzie siedzieli na ławkach...

Czas był cichy, spokojny i ciepły więc usiedliśmy także i my.

Teraz, gdy wspominam moje wizyty w Starym Kraju cały czas odnoszę wrażenie, że o niektórych sprawach opowiadam zbyt powierzchownie. W gruncie rzeczy to nie jest tylko wrażenie. Wiem, że tak jest i nie umiem się z tego wytłumaczyć. Może tylko tym, że pewne rzeczy zapominam, a inne wbijają mi się w

głową tak wyraźnie i silnie, że przysłaniają obiektywne spojrzenie. Jasną więc rzeczą jest, że nie jestem obiektywny!

Wszystko co piszę o Warszawie, ludziach i ich sprawach jest zabarwione moimi osobistymi przeżyciami. Ale czy może być inaczej?

Nasze "polskie przygody" nie są inne od tych, które doświadczają inni.

Ilu z nas ma koło siebie kogoś chorego, starego i cierpiącego?

Ilu z nas podejmuje związane z tym trudne decyzje?

Ilu z nas miota się pomiędzy swoim własnym życiem, swoimi kłopotami, chorobami i starzeniem się, a koniecznością pomocy tym, którym jest jeszcze ciężiej, są sami, bezradni i słabi?

Wszystko to, a także upływ czasu i – jak powiedziałem – nasze własne słabości mają wpływ na ocenę tego co przeżywamy.

Odnoszę to głównie do siebie, ale rozmawiam też z innymi i wiem, że koleje naszych losów są i bliskie i dalekie, bo przecież każdy z nas jest inny.

Inne jest też widzenie rzeczywistości. Tak więc niektóre nowe elementy Osi Saskiej drażniły mnie i w duszy protestowałem przeciwko "zniszczeniu" jej obrazu. Oczywiście na pierwszym miejscu był ten nieszczęsny szklany gmach, który zasłaniał Teatr Wielki i burzył estetykę Placu Piłsudskiego. Także sama zmiana nazwy Placu nie była po mojej myśli. Dla mnie to był ciągle Plac Zwycięstwa! Siedzieliśmy na ławce niedaleko cicho szumiącej fontanny i jak wspomniałem czas był miły i łagodny. Wspaniała polska jesień! W pewnej chwili przysiadł się do nas starszy człowiek, który na początku zaczął czytać gazetę, ale po jakimś czasie przerwał i zaczęliśmy rozmawiać.

Najpierw o czymś neutralnym, ale po paru minutach on sam zaczął mówić o Placu. Był podobnego zdania jak ja, ale dodawał wiele szczegółów, których nie znałem. Mówił o planach odbudowy

Pałacu Saskiego, Pałacu Bruhla, znalezieniu w obrębie Placu starych, pałacowych piwnic, planach budowy pomników upamiętniających katastrofę smoleńską itd.

Słuchałem z ciekawością. Okazało się, że był emerytowanym architektem, chyba uznanym i nagradzanym, bo od czasu do czasu wtrącał informacje o swoich projektach. O Placu i w ogóle o Warszawie mówił z pasją i miłością i chociaż podobnie jak ja nie był warszawiakiem z urodzenia to widać było, że także podobnie jak ja kocha to Miasto.

To on opowiedział mi o ogromnej operacji przesunięcia na rolkach Pałacu Lubomirskich na końcu Osi Saskiej. To było w 1970 roku i w głowę zachodziłem, że tego nie pamiętam. Przecież nie mogłem tego wtedy nie wiedzieć! Po prostu dziura w pamięci! A operacja – według jego relacji – była na miarę budowy piramid i trwała prawie dwa miesiące. Dzięki niej obrócono cały gmach o siedemdziesiąt stopni tak, że stanął dokładnie w poprzek Osi i zasłonił Halę Gwardii i Halę Mirowską.

Przed majestatyczną kolumnadą pałacu postawiono konny pomnik Tadeusza Kościuszki! Pałac. Związany z nim Plac Żelaznej Bramy jest moim zdaniem jednym z piękniejszych miejsc w Warszawie.

Po raz nie wiadomo który uświadomiłem sobie, że bardzo często nie doceniamy tego co mamy na wyciągnięcie ręki i potrzeba dystansu – także i czasowego – żeby umieć zauważyć jego piękno.

Trudno by mi było znaleźć w Warszawie dzielnicę czy osiedle, na którym nie byłem. Najeździłem się po tym mieście od Falenicy po Bielany, od Bemowa po Wesołą, od Wilanowa po Targówek. Miałem wrażenie, że znam to miasto, ale jak się coraz wyraźniej okazywało niewiele znałem, bo po prostu wtedy gdy byłem młody interesowało mnie tyle innych rzeczy... W każdym razie na pewno nie architektura.

Teraz po latach widziałem to Miasto inaczej.

W przedostatni weekend października wybraliśmy się na małą wycieczkę do Kutna.

Jechaliśmy drogą przez Wolę na Ożarów i Sochaczew. To były świetnie zagospodarowane strony z wielkimi magazynami, zagranicznymi firmami i hotelami.

Najpierw "czerwona" Wola – prawie nie do poznania, potem Jelonki, na których kiedyś w barakach pozostawionych przez budowniczych Pałacu Kultury urządzono dość prymitywne akademiki, dalej Ożarów, Błonie i trochę więcej gospodarstw głównie sadowniczych. Tuż przy drodze stanowisko sprzedaży jabłek. Zatrzymaliśmy się, żeby kupić wymarzone przeze mnie koksy pomarańczowe, które uważam za absolutnie najlepszy owoc na całym świecie!

Przy stoisku nie było nikogo, ale na platformie ułożone w skrzynkach, leżały różne odmiany. Było ich przeszło dwadzieścia.

Czekaliśmy małą chwilkę. Z drugiej strony szosy pędził do nas na rowerze chłopak. Okazało się, że obsługiwał dwa stanowiska. Jedno po jednej stronie szosy a drugie po drugiej. Stanowiska nie wiedzieć dlaczego nie stały naprzeciw siebie, ale były od siebie oddalone o jakieś sto metrów. Coś musiało być na rzeczy. Gdy chłopak widział, że ktoś się zatrzymuje przy akurat pustym stoisku wskakiwał na rower i przyjeżdżał obsłużyć. Przyjechał.

– Czy ma pan może koksę pomarańczową?

– Koksę? A kto by tam panie utrzymał koksę do tej pory? – zdziwił się jakbym go zapytał czy nie ma na sprzedaż brylantów.

– Koksa to delikatne jabłko i nie takie popularne. Weź pan czempiona – on teraz robi za koksę!

– Czempion? No, nie wiem... A to to jakie jabłko? – pokazałem trochę na chybił trafił.

– Gruszkówka!

W życiu nie słyszałem o takich odmianach!

– Ale co się stało z koksą? Przecież kiedyś to było...

– Kiedyś, kiedyś – co tam kiedyś – zapomnij pan! Teraz to panie w Unii jesteśmy, w Nato jesteśmy! To jak – ile mam dać tego czempiona? I tak z mojej “bucket list” wykreśliłem kolejny punkt, z tym tylko, że w miejsce koksy napisałem “czempion”, bo jak się potem dowiedziałem czempion to dziecko koksy i golden delicious. Dowiedziałem się też, że koksa to rzeczywiście delikatne, wymagające jabłko i sadownicy rzadko je teraz trzymają. A przecież kiedyś... Ale nie dokończyłem swojej myśli, bo przypomniało mi się, że przecież „co tam kiedyś!!!”.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net